

775/7

II 1409.733

[Lactantius Lucius Caelius Firmianus]

Laktancyusza Firmiana,
jak przypuszczają, a pewnie nieznanego poety starożytnego

Wiersz o feniksie

(carmen de pheonice).

Przełożył na miarę oryginału łacińskiego
JÓZEF JANKOWSKI.

Odbito w 100 egzemplarzach.

Nr.....

1909 r.

Oddalone od świata na krańcach wschodu jest miejsce,
Skąd wiecznego bieguna otwarte oścież wierzeje:
Nie zbliżone atoli do zimy i lata ziem krajnych,
Lecz — gdzie słońce od osi wiosennej dzień śliczny wylewa.
Tam równina dla oczu przestronne roztacza widoki,
Niemasz wzgórze tam, wklęsła dolina tam próżnią nie zleje,
Lecz nad grzbiety gór naszych, z wysokich poziomów stynące,
Na sześć łokci po dwakroć to miejsce jest wyniesione.
Słońca gaj tam, dąbrowa, drzewami licznymi porośla,
Stoi strojna, świecąca głaskami wieczystej zieleni.
Od Faetoińskich gdy ogniów płonęła oś ziemi straszliwych,
Miejsce nieuszkodzone zostało to od pożarów,
I gdy potop powszechny pogrążył w falach glob ziemi,
Deukaliiońskie szczęście przegórowało wody.
Niemasz tam chorób bezkrwistych, niemasz starości strętwiąłej,
Śmierć sroga nie ma dostępu tam, ani strach ścinający,
Zbrodnia oślepiająca, ni żądza bogactw szalona,
Ani Mars, ani poryw zabójstwa w miłosnym ferworze.
Gorzkie rozpacz tam obce, łalami poszyta potrzeba,
Troski niespane i głodu tortura, przekleństwo ludzkości.
Niemasz burz tam, wichury nie hula tam siła groźliwa,
Ani szron nie okrywa tam ziemi rosą lodową.
Obłok tam nie rozwłóczy swej przędzy ponad polami,
Ani z góry nie pada wilgota wody wzburzona.
Lecz jest źródło tam pośrodku, a który żywym się mieni,
Czysty, wdzięczny, przezroczy, wodami słodkimi rześlisty.
Zródło ten, wytryskający raz jeden na przeciąg miesiąca,
Dwanaściekroć falami orasza całą dąbrowę.
Jest tam drzewa gatunek, wysokim pniem strzelający,
Nie padające na ziemię soczyste jabłka obradza.
Gaj ów, ową dąbrowę jedyny zaludnia ptak: feniks,
Choć jedyny, lecz żyje, ze śmierci swej odrodzony.
Feba to strażnik uległy i satellita znamienny,
Tem go macierz-przyroda na dobro cnie obdarzyła.
Kiedy rdzawa najpierwsza czerwieni się zorza wstająca

I gdy światem różanym precz zenie gwiazdy błyszczące,
Trzy-czterykroć pograża swe ciało w żywiole szanownym,
Trzy-czterykroć z topieli żywiołną poi się wodą.
Wznosi się zatem i w gaju tym na najwyższym wierzchołku
Drzewa siada, co jedno nad ogół drzew wyniesione —
I zwrócony ku wschodom lśnień Feba powstającego,
Na strzelistych promieni tam czeka zjaw uroczysty.
Aż gdy bramy świecącej odegna słońce już rębny,
I poświęta lecluchna pierwszego rozbłyśnie promienia,
Wtedy sławnie świętego harmonie poczyna łać śpiewu,
Głosem cudnym wzniecając nowego światła strzelisko.
A tym pniom czarownym ni słodkie głosy słowicze,
Ani w Cyrrejskim zespole fletowa nie sprosta muzyka,
Żabędź mrący nie mocen się mierzyć z temi głosami,
Ani strun Cylenejskiej liry oddźwięczne uroki.
A gdy Feb już rumaki na przestwór wypuści Olympu
I już odtąd idący na obwód zaciągnie się cały:
Trzykroć skrzydeł łopotem i niewypowiedzianemi
Dniem i nocą dźwiękami na zmiany bije niemylny.
Tak czuwając, godziny odmierza zapadające
I potrzykroć hołdowny ogniową głowę ucisza: i
Kapłan gaju gorliwy, ofiarnik światła szanowny,
Jeden tylko misteryów twych górnych świadom, o, Febiel
Kiedy tysiąc lat wleku przeżyje ptak ów przedziwny
I gdy długi ten szereg uczyni go ociężałym,
Żby żywot odnowić, brzemieniem czasów przyćmlony,
Gaju swego lubego porzuca słodką kołyskę.
Świątobliwe te miejsca porzuca, odrodzin spragniony,
Do tych krajów zdążając, gdzie śmierć ma swoje dzierzawy.
Długowieczny do Syrii pospieszne zakreśla poloty,
Która nazwę Fenicyi od Wenus samej ma w darze.
Przez pustyni bezdroża do lasów zdąży tajemnych,
Tam, gdzie za wąwozami ustronny gaj jest ukryty.
Tam wybiera wraz palmę, powietrznym wierzchołkiem wyniosłą,
Która nazwą fenickiej od niego wdzięcznie się szczyli,

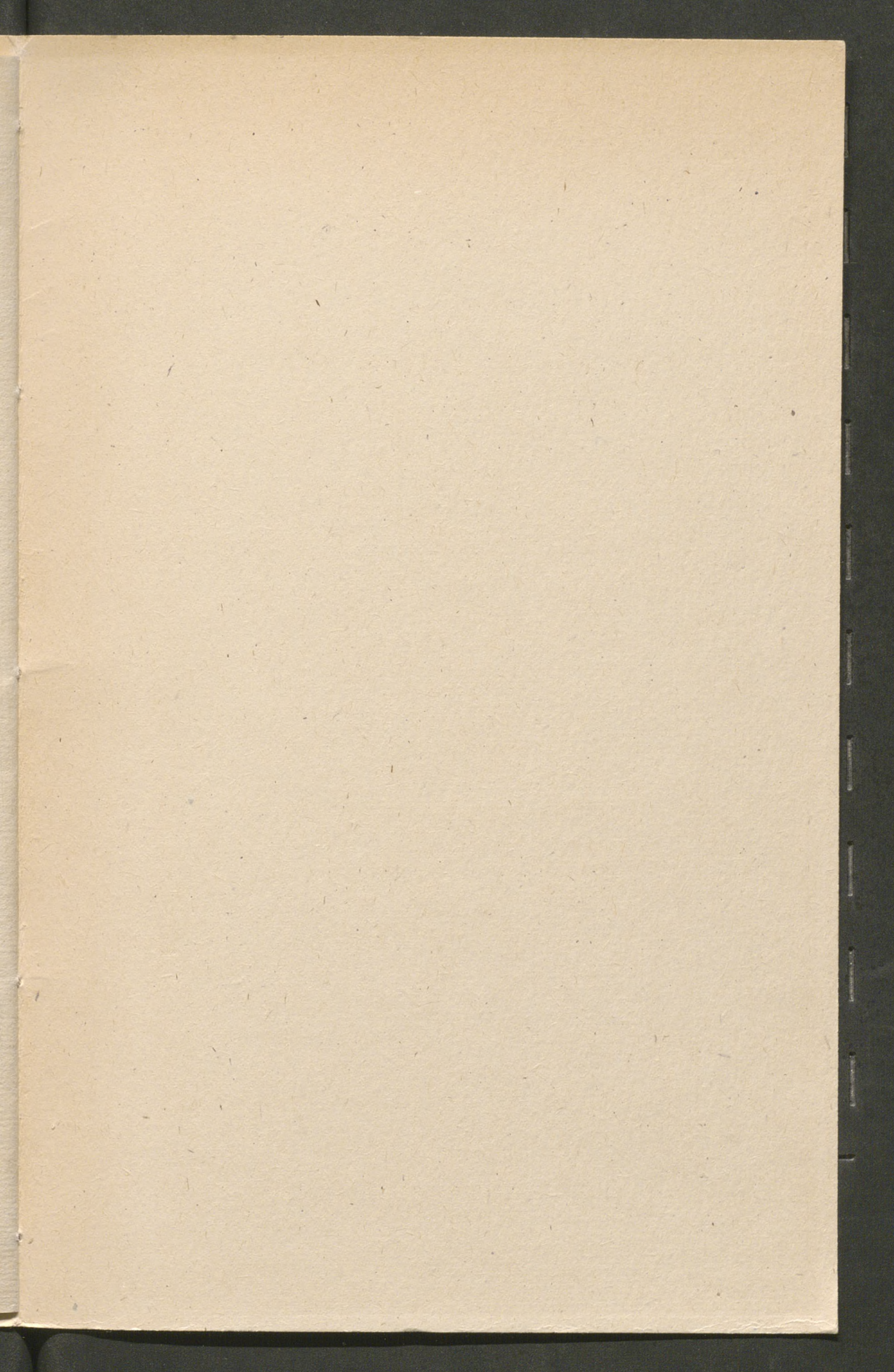
Nogi łuska okrywa pancerna, lśniąc mocnym metalem,
 Nadto szpony szanownie różany kolor okrasza.
 Postać jego pośrednia pomiędzy pawia wyglądem
 I pomiędzy Fazydy złocistym ptakiem, bażantem.
 Wielkość jego jest prawie, jak ptaków, które Arabii
 Ziemia nosi, czy kiedy są swojskie, czy kiedy na woli.
 Nie jest wszakże powolny, jak ptacy ci, których poloty
 Gnuśne i ociężałe przez wagę, skrzydłom przekorną;
 Owszem—lekki i zwinny, królewskiej pełny harmonii:
 Taki jeszcze dotychczas śmiertelnych oczom się jawi.
 Zgoła Egipt przystoi do cudów takiego widoku,
 Bogobojne tam rzesze czczą ptaka tego dziwnego.
 Tam kształt jego w święconym marmurze rzezany utworzą,
 Nowem mianem uświęcą i dzień, i rzecz w jego imię.
 Cały rodzaj skrzydlaty na sejm tam przyciąga ogromny,—
 Żaden wtedy nie pomny ptak strachu, żaden łupiestwa.
 Śród korowodu tłumnego unasza się w wyż on przedziwny,
 Zdołu rzesze go szmerem radosnym pobożnie żegnają.
 Kiedy bowiem już czystych eteru dosięgnie przeźroczy,
 Wraca do się, zaszywa się w swoich słonecznych dzierzawach:
 O, jak godzien zazdrości, jak w losach niedościgniony,
 Ptak, któremu pozwolił Bóg twórcą być siebie samego.
 Męski jest li, czy żeński, nijaki, czyli obojgo,
 Szczęsny, w lenno trawiące nie podan słodkiej Wenerze.
 Śmierć jest jemu miłością, w niej jedno rozkosz dla niego,
 Iżby mógł się narodzić, pożąda aż do umarcia.
 Sam jest swoim potomstwem, sam rodzicielem, dziedzicem,
 Sam jest swym karmicielem, hodowcą i ofiarnikiem,
 Wciąż ten samy, wždy nie ten,—choć jeden, lecz ciągle jest inny
 Nieśmiertelność w udziale otrzymał śmierci wysługą.



TYTUŁ: ORZEŁ BRANDA. RĘK. WARSZ. 1874.



J. Straus
 Nowa
 26 x 33



1409733

